Święta Bożego Narodzenia w naszym polskim domu. Łódź lata 50. XX w.

Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Barbara M.J.Kukulska

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Wspomnieniem sięgam do mojego domu rodzinnego. W naszym domu mieszkało wiele osób, choć praktycznie była nas czwórka; rodzice, mój starszy brat Zbyszek i ja. Jednak zawsze gościł ktoś potrzebujący pomocy.

Mieszkanie w kamienicy w Łodzi było metrażowo duże, ale znajdowały się tylko trzy pokoje i rozmieszczenie dodatkowych osób wymagało specjalnego ustawienia mebli. W tym była niezastąpiona moja matka, która potrafiła w parę godzin

całkowicie poprzestawiać ciężkie meble w całym mieszkaniu, czym doprowadzała mnie do rozpaczy, gdyż gubiłam się! Tylko miarowe cykanie i wybijanie godzin, dawało znać gdzie znajduje się olbrzymi wahadłowy zegar. Uspokajało, że jednak to jest moje mieszkanie.

Zanim poszłam do szkoły, przez kilka lat mieszkała z nami babunia Zofia, urodzona warszawianka, ale dorosłe życie spędziła w Poznaniu. Posługiwała się językiem niemieckim biegle, tak jak polskim i kiedy byłyśmy same bardzo często mówiła do mnie po niemiecku, aby mnie nauczyć tego języka. Rodzice niechętnie na to patrzyli, gdyż uważali, że w pierwszym rzędzie powinnam znać język ojczysty. Babunia zaprzestała rozmów po niemiecku, ale nauka nie poszła w las i dużo później okazało się, że znam ten język.

Znajomość języka niemieckiego miała kolosalne znaczenie właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. W tych ciężkich czasach przełomu lat 50. zeszłego stulecia, niezwykle trudno było zdobyć jakiekolwiek prezenty. Dlatego kilka miesięcy wcześniej jak coś pokazało się w sklepie, rodzice kupowali i chowali skrzętnie przed nami, aby nam zrobić niespodziankę w wieczór wigilijny. Po kupnie prezentu dorośli dyskutowali, co komu dadzą. Śmieszne dla mnie było to, że mówili otwarcie w obecności dzieci, myśląc, że porozumiewają się „sekretnym językiem” czyli po niemiecku, a my nic z tego nie rozumiemy.

Powiem szczerze, dziwiłam się mając cztery lata, dlaczego przy mnie omawiają różne tajemne sprawy i zaznaczają, że nie wolno o tym mówić Basi! I tak filozofowałam, że doprawdy trudno zrozumieć dorosłych, a szczególnie moich rodziców! Zatem, aby nie zrobić im przykrości, grałam razem z nimi, że nic nie rozumiem i nic nie wiem! Pocieszałam się, że może ktoś z dalszej rodziny prześle paczkę, czy przyjedzie na święta z prawdziwą niespodzianką. Rozpalało to moją wyobraźnię, co dostanę i nawet jeśli wiedziałam, że będzie to upragniona laleczka, to w myśli tworzyłam obrazy uszytych dla niej sukienek.

Krótko po II wojnie światowej nie przelewało się nikomu. A jednak święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok.

Już co najmniej miesiąc wcześniej w każdym domu przystępowało się do wykonywania ozdób na choinkę: łańcuchów sklejanych z kolorowych papierków, gwiazdek i koszyczków plecionych z białych paseczków, malowania wydmuszek z jajek i robienie z nich lalek i pajaców do wieszania na choinkę. Na czubku drzewka koniecznie musiała być zamieszczona gwiazda symbolizująca gwiazdę betlejemską. Im bardziej była okazała, tym więcej pochwał dostawali gospodarze od gości odwiedzających w czasie świąt.

Najwięcej starania pochłaniało przygotowanie szopki. Nie na próżno się mówi, że „potrzeba jest matką wynalazków”. Zupełnie nie mogłam zrozumieć intencji mojej babuni Zofii, kiedy powiedziała, że przygotujemy szopkę betlejemską, ale wpierw musimy iść na targ. Wybrałyśmy się na Zielony Rynek, a tam było pełno wozów ze wsi z różnymi towarami: gdakające kury i piejące koguty w koszykach, jajka, ziemniaki, sery, mąka, kasze w dużych worach, a na końcu rynku: stały stłoczone beczące owce i kozy.

Babunia podeszła do wieśniaczki i poprosiła o kilka piór i słomę,

a od właściciela owiec dostała trochę runa. Z takimi trofeami wróciłyśmy do domu. Miałam wtedy cztery, może pięć lat i wszystko nadzwyczaj mnie dziwiło.

Siadaliśmy do stołu, na którym poukładane były kromki chleba, kolorowe ścinki tkanin, słoma, sucha trawa, kawałki desek, kolorowe papiery i farby. Najpierw trzeba było użuć chleb, aby stanowił gęstą masę, z której lepiliśmy figurki Rodziny Świętej, Aniołów, pasterzy, zwierząt. Babunia, która malowała piękne obrazy i miała złote ręce do prac artystycznych, kierowała naszymi pracami. Jej postacie były wypracowane, ona też uczyła jak mają być wykonane stroje Matki Boskiej, Świętego Józefa i pasterzy. Każdy chciał ubierać w koszulkę Pana Jezuska, ale babunia wybierała sprawiedliwie tylko ładne i starannie wykonane prace. Lepiliśmy też owieczki i przystrajane były runem, Aniołowie mieli przytwierdzone prawdziwe pióra. Dach stajenki przykryty był słomą, a żłóbek wypełniony aromatyczną trawą. Umocowana była kometa nad stajenką w Betlejem. Podczas wielogodzinnego wspólnego siedzenia, opowiadane było przez dorosłych życie Świętej Rodziny, jazda na osiołku i narodziny Dzieciątka w ubogiej szopie. Słuchałam tych opowiadań z zapartym tchem, jak Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a poprzez wspólne tworzenie stajenki betlejemskiej, przeżywałam życie Małego Jezusa jako osoby znanej mi i bliskiej.

Na zakończenie wszyscy uważaliśmy zgodnie, że wykonanie

szopki było najważniejsze i najciekawsze. Szopka była gotowa. Łańcuchy i uplecione gwiazdki czekały w pudełku na dzień wigilijny, kiedy miały zostać powieszone na choince.

Niebywałym wyczynem było zdobycie pachnącego świerku lub jodły. Ponieważ mieszkanie było wysokie na 4,5 metra, więc i choinka musiała prezentować się okazale i sięgać do sufitu! Nie mogliśmy doczekać się na ten upragniony dzień ozdabiania naszego drzewka.

Tradycyjnie cały rytuał rozpoczynał się w godzinach rannych w

wigilię. Zapach iglastego lasu unosił się w całym mieszkaniu zmieszany z aromatami kuchennymi i wypiekami drożdżowych ciast. To wszystko wpływało na atmosferę podniecenia przed najważniejszym momentem dla dzieci: szukania prezentów pozostawionych pod choinką przez świętego Mikołaja. W ozdabianiu drzewka brała udział cała rodzina i przyjaciele. Do umieszczenia na czubku choinki gwiazdy pieczołowicie wykonanej i posypanej brokatem, aby się świeciła, trzeba było użyć wysokiej drabiny, którą mieli nasi sąsiedzi. Przy okazji pożyczania i oddawania drabiny, odwiedzało się sąsiadów składając życzenia.

Na drzewku wypełniającym swoimi rozłożystymi konarami niemalże pół stołowego pokoju wisiały oprócz ręcznie wykonanych ozdób, szklanych błyszczących bombek, również smakołyki: cukierki w kolorowych papierkach, orzechy, wyglansowane i błyszczące czerwone jabłka i inne owoce. Owoce same w sobie były już rarytasem na który można było tylko patrzeć i podziwiać. Aby dostać jabłko z drzewka, musiałam bardzo się starać i zasłużyć na tę nagrodę za dobre zachowanie. Przedtem jednak przez wiele dni wpatrywałam się w smakołyki i ciekła mi ślinka od patrzenia!

Ubrana choinka z zapalonymi woskowymi świeczkami wzbudzała zachwyt nie tylko dzieci, ale dorośli też byli pod urokiem tego wigilijnego wieczoru.

Choć czasy były ciężkie i trudno było zdobyć karpia, śledzie, czy szynkę na świąteczny stół, to zawsze w jakiś magiczny sposób udawało się coś kupić.

Bardzo pomocni w dostarczaniu żywności, byli wujostwo Maria i Wacław Tarnowscy, mieszkający w Dobrzelinie pod Kutnem. Wujek przed II wojną światową i po wojnie był głównym udziałowcem w Cukrowni Dobrzelin, gdzie też był zarządcą.

Dzięki hojności wujostwa moi rodzice przetrwali wojnę, a później nie umarli z głodu. Wujek Tarnowski przelał całe uczucia na mnie, po śmierci swojej córki Wandy w kanałach w czasie Powstania Warszawskiego. Byłam adorowana przez tego uroczego starszego pana, który traktował mnie jak prawdziwą damę, choć miałam zaledwie cztery lata!

Biała serweta, siano pod obrusem, udekorowany gałązkami stół, nakrycie dla niespodziewanego gościa (zawsze ktoś przyszedł i trzeba było dostawiać nie tylko talerze, ale i krzesła) oraz na półmiskach potrawy dekoracyjnie ułożone, dawały nastrój wyjątkowy. Tradycyjne potrawy wigilijne przygotowywane były według dawnych rodzinnych receptur. Każdy region Polski miał odrębne zwyczaje i moi rodzice, którzy pochodzili z różnych stron Polski, zawsze uzgadniali, która z potraw będzie serwowana.

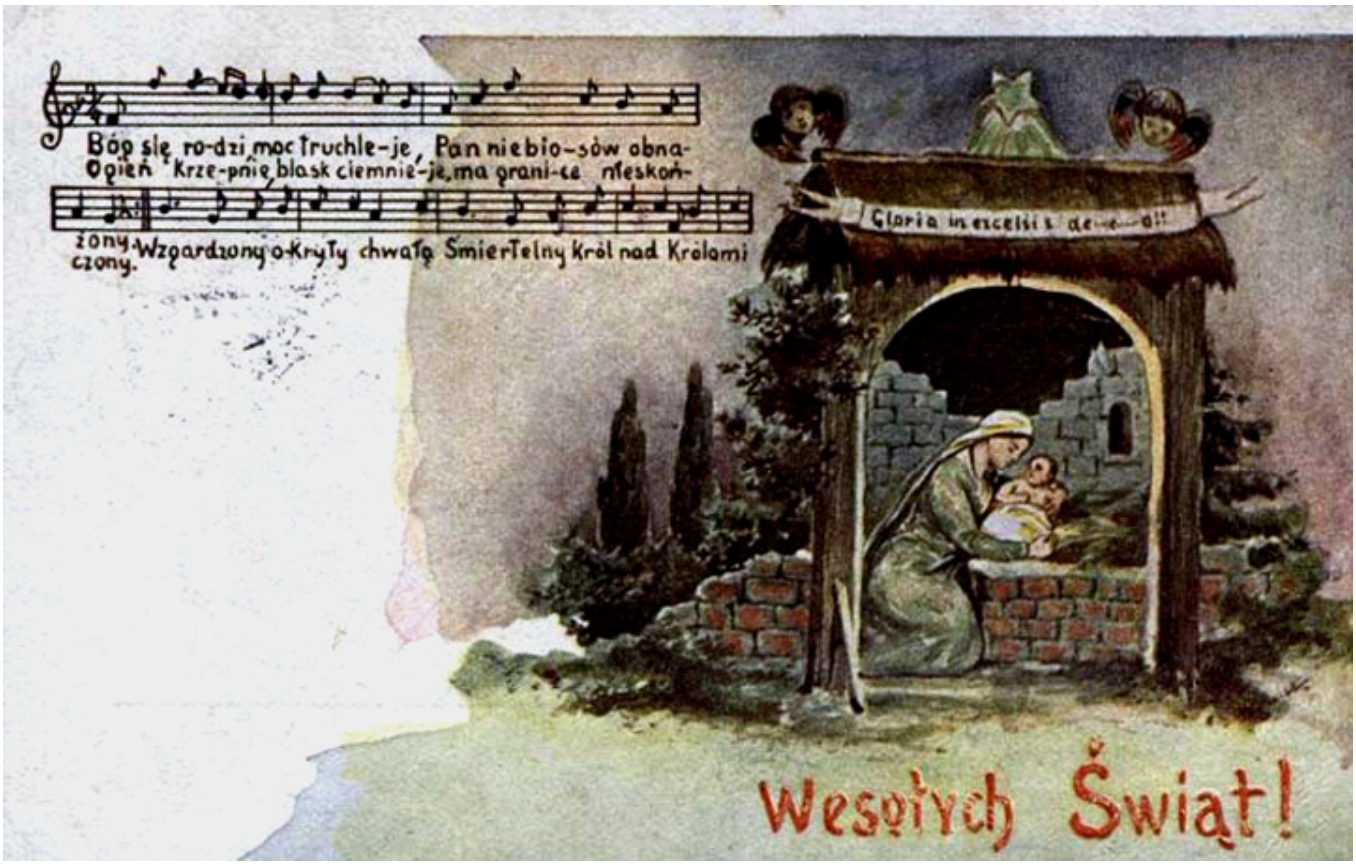

Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Przychodzili goście, aby wspólnie świętować Narodzenie Pana. Bardzo oczekiwani byli wujostwo Brzezińscy mieszkający kilka domów dalej na tej samej ulicy Gdańskiej. Wujek Wacek wykładał w Konserwatorium Muzycznym, które znajdowało się naprzeciw naszej kamienicy. Wujek był synem sławnego profesora Wacława Brzezińskiego, który wylansował śpiewaka Janka Kiepurę. Wujek Wacek miał operowy głos, jego żona Basia pięknie śpiewała i wspólnie z moją matką, która miała sopran koloraturowy tworzyli doskonałe trio. Ktoś z przyjaciół pianistów akompaniował przy zgaszonym świetle. Paliły się świece w lichtarzach pianina i błyszczała choinka z zapalonymi świeczkami. Pełną piersią śpiewaliśmy kolędy i nam dzieciom,

wydawało się, że to śpiewają sami Aniołowie. Nigdy później w moim życiu nie słyszałam tak profesjonalnie wykonanych pieśni bożenarodzeniowych.

Wśród prezentów zostawianych przez świętego Mikołaja zawsze znajdowały się kalendarzyki na następny rok, z życzeniami aby był pomyślny i upłynął spokojnie. Tym „Mikołajem” był mój tatuś, który poprzez pozytywne życzenia prowokował dobry los do spełnienia oczekiwań. Muszę przyznać, że te kalendarzyki były jakby czarodziejskie, tworzyły dobry klimat i pozwalały myśleć o nadchodzącym Nowym Roku jako o zwiastunie nadziei na lepsze jutro.

W okresie Bożego Narodzenia, pod koniec lat 40. XX wieku, Politechnika Łódzka gdzie pracował mój ojciec, urządzała dla dzieci pracowników spotkanie ze świętym Mikołajem, który rozdawał paczki ze słodyczami i owocami. Wielkim luksusem w paczce była pachnąca pomarańcza. Spotkania były bardzo uroczyste. Panowie profesorowie witali się z dziećmi poprzez podanie ręki i elegancki ukłon. Grzecznościowo zamieniali też kilka słów z każdym dzieckiem. Następnie były konkursy recytacji i piosenek. Oklaskami zgromadzeni nagradzali zwycięskie dziecko. A potem poprowadzeni przez wodzireja tworzyliśmy taneczny łańcuch oplatający całą salę balową, która w tym dniu była udekorowana lampionami i łańcuchami. Śpiewaliśmy kolędy i chrupaliśmy orzechy. Spotkania

przygotowane były doskonale. Dopiero parę lat później na skutek oficjalnych komunistycznych zarządzeń, spotkania bożenarodzeniowe zmieniły nazwę na witanie Dziadka Mroza. Nikt z dzieci nie cieszył się już tak jak dawniej, gdy witał nas święty Mikołaj.

Dni świąteczne mijały szybko i wykładnikiem upływającego czasu, była sypiąca igłami choinka. Aż wreszcie, kiedy straciła cały swój majestat i krasę, była rozbierana. Na suchych gałęziach zostały jedynie łańcuchy, białe gwiazdeczki i bombki. Zniknęły owoce, cukierki i orzechy. Część z nich, szczególnie te, które wisiały wysoko, była zdejmowana oficjalnie i w nagrodę obdarowywani byliśmy za dobre zachowanie, jednak znaczna część zniknęła bez śladu, nie wiadomo było czy to ktoś nocą potajemnie zdejmował z drzewka, czy też niby przez nieuwagę „strącił” czerwone jabłuszko.

Mijały święta mojego dzieciństwa, tak długo oczekiwane, ale pamięć związana z przeżyciami i przygotowaniami pozostała na zawsze, jako czas niezwykły, gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem, a Aniołowie schodzą z nieba aby spełnić ludzkie życzenia.

Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Wyspa. Boże Narodzenie

w Centrum Mazowsze na Hindmarsh Island w Australii.

Anna Habryn

22 grudnia 1998 roku, 5 po południu.

Jest przepięknie. Droga z Cape Jarvis do Victor Harbour prowadzi wśród wzgórz i dolin, jak rollercoaster: w górę i w dół, w górę i w dół. Piaskowo-żółte wzgórza sprawiają wrażenie malowanych dekoracji teatralnych: są łagodnie zaokrąglone, jeden pagórek przechodzi w drugi pagórek...

Zjeżdżając z góry do Victor Harbour podziwiamy te cudowne kolory z lotu ptaka. Zatoka jest czysto błękitna, brzegi są żółto-płowo-oliwkowe, spiczaste czubki sosenek podkreślają obłość pagórków. Do tego jeszcze kolorowe dachy usadzonego wśród tych wzgórz i lasków miasta…

Postanowiliśmy znaleźć obóz harcerski na Hindmarsh Island. Chcemy przenocować jedną noc u polskich harcerzy.

Na Hindmarsh Island przepływamy promem. Nie możemy znaleźć ani pomnika, ani posiadłości harcerzy, ale dojeżdżamy do ujścia rzeki Murray. Jest to szerokie rozlewisko. Ludzie łowią ryby z plaży, ale my stajemy tu tylko na noc, parkujemy naszego kamperwana na końcu drogi. Nikt nas tu nie znajdzie… Hmm, źle powiedziane, stoi tu sześć samochodów, ale prawdopodobnie odjadą wieczorem, a my zostaniemy.

To chyba śpiewa skowronek?! Wysoko w niebie, nad tym suchym polem…

23 grudnia

Wyspa jest urozmaicona bardziej, niż nam się wydawało. Ta druga jej część, zwrócona ku miastu Gulwa, jest nieco zalesiona i na tym właśnie brzegu, w pięknym lesie jest Centrum Mazowsze. Stoi tu kilka półokrągłych baraczków takich jak te „beczki śmiechu”, w których mieszkały przed pięćdziesięciu laty pierwsze grupy przybywających do Australii Polaków. Opiekuje się tym ośrodkiem rodzina z tzw. nowej Polonii, która mieszka w takim baraczku od kilku miesięcy: ojciec, matka, dwoje dzieci. Mieszkają tu czasowo i budują sobie dom w mieście.

Pachnie intensywnie, po polsku, sosną. Pod drzewami stoi trochę zbitych z okrąglaków mebli: stoły, ławy, estrada i podłoga z desek, na której za kilka dni, w Sylwestra, będą tańce. Stoi nawet choinka, ubrana dla dzieci. Kilka baraczków z falistej blachy i dwa harcerskie namioty stoją na razie puste. Nad jeziorem, po drugiej stronie drogi, wybudowano murowany dom. Są tam prysznice, a których wolno nam korzystać i ktoś tam wczoraj zamieszkał, więcej nie ma tu nikogo. Na razie.

Ta wyspa cała była kiedyś własnością Polaków. Jedna z dróg nazywa się Semaszko, druga Nanicz… Gdzieniegdzie jeszcze jacyś Polacy mają swoje domki letniskowe.

Gospodarze Ośrodka to bardzo miła rodzina. Wydają się

naprawdę szczęśliwi, że przyjechaliśmy, my też jesteśmy szczęśliwi, bo bardziej nam się tu podoba niż w kempingu w Adelaide, gdzie mieszkają przyjaciele, współtowarzysze podróży. Tamci powinni dzisiaj tutaj zjechać. Byliśmy u nich zaprosić ich na wigilię, ale nie chcieli do nas przyjechać, bo im się wydawało za daleko, a poza tym w ich karawanparku miało być świąteczne party z darmowym jedzeniem i piciem. Tak więc wybrali party wśród Australijczyków. Daj im Boże zdrowie. Może będą mieli dobrą wigilię, ale czy lepszą niż my – wątpię.

Wigilia…

Następnego dnia po przyjeździe zrobiliśmy Wigilię wspólnie z gospodarzami.

Tuż przed wigilią łowiliśmy karpie z drewnianego pomostu do cumowania łódek. Złowiliśmy pięć ryb, które zresztą upieczone później w folii na *barbacue* pachniały mułem. Karpi w Południowej Australii nie brakuje, wprost odwrotnie. Przywieziono je z Europy, wpuszczono do rzeki i… rozmnożyły się tak, że zagroziły miejscowej faunie. Kiedy miejscowi wędkarze złowią karpia, wyrzucają go z obrzydzeniem w nadbrzeżne krzaki! No, ale my musieliśmy przecież mieć na wigilijnym stole karpia, żeby było „po polsku”!

Dookoła nas pływała kaczka z dwoma kaczętami. Córka Edka, mała Oliwia wyjaśniła nam: kilka dni temu było tych kacząt pięć, ale coś je widać pozjadało i zostały dwa. Stara odganiała wszystkie inne kaczki, ale jak jej rzucaliśmy kawałek ciasta, to dzieci musiały z nią współzawodniczyć, żeby złapać kąsek. Widać niedobra z niej matka! Oliwia złapała podbierakiem jedno z tych kaczątek i wyciągnęła je z wody. I wtedy… wtedy kaczka podniosła rozpaczliwy krzyk! Zaczęła się miotać po wodzie, pióra stanęły jej dęba… Tak rozpaczała, tak się strasznie awanturowała, tak protestowała przeciwko temu, co się działo, to

były takie zupełnie ludzkie uczucia… Powiedziałam do Oliwii: „Puść je, ja tego nie wytrzymam”.

Wigilia była wspaniała.

Mieliśmy nawet więcej niż dwanaście potraw. Ja zrobiłam zupę grzybową, ale Zosia zrobiła za to trzy inne zupy: i żurek czerwony, grochówkę i żurek biały, był też karp smażony i moje śledzie z cebulką i pierogi ruskie – wielka uczta!

Hindmarsh Island

Boże Narodzenie

Po raz pierwszy w tej podróży rozłożyliśmy obóz całkowicie, tzn. rozbiliśmy oba namioty i powiesiliśmy między drzewami hamak. Wczoraj próbowałam leżeć na tym hamaku, ale był taki wiatr, że wydawało mi się, że na głowę pospadają mi nie tylko olbrzymie szyszki, ale i gałęzie. Nie wytrzymałam nerwowo.

Ale dzisiaj się wiatr uciszył i kto wie, może znowu sobie poleżę?

Na drzewach siedzi całe stado papug *galah*. Mają różowe brzuszki. Są szare, ale w słońcu mienią się różnymi kolorami. W tym lesie jest w ogóle dużo ptaków. Pod nogami mięciusieńka ściółka z igieł i szyszki i byłoby bardzo, bardzo przyjemnie, gdyby nie komary, niestety. Oganiamy się, a wieczorem muszę zamykać samochód i przed snem wypsikać go trucizną w aerozolu, zabójczym preparatem. Komary spadają martwe, my też jesteśmy potem lekko podtruci, ale dopiero potem spokojnie śpimy.

Drugiego dnia świąt jedziemy do miasta, czyli do Adelaide, na wcześniej umówione spotkanie z kimś ze „starej Polonii". Tadek jest w dobrym humorze. Dobrze mu się żyje. Ja robię wywiady ze starymi polonusami, z przeznaczeniem do archiwum w Kanberze, w ramach projektu „Oral History", a on sobie popija piwko. Jemy świąteczne ciasta, którymi nas ludzie częstują, popijamy wiśnióweczki i koniaczki, próbujemy bigosów, jednym słowem, korzystamy z tego, że mamy „historyczną misję" do wypełnienia wśród Polaków. Właściwie prawie wypełniłam już mój program

nagrań. Teraz tylko pozostaje dowieźć taśmy do Polsko-Australijskiego Instytutu Historycznego.

Później

Wracając, przy przeprawie promowej trafiliśmy na zator: kolejka samochodów, wóz policyjny na sygnale, jakiś *towtruck*… Nie wiedzieliśmy, co się stało. Gospodarz na Mazowszu, Edek, powitał nas ze zwichrzonym włosem i z rozpaczą w oczach. Okazało się, że syn znajomych Polaków z wyspy, chłopak 16-letni, rozbił się samochodem, na śmierć. Chłopcy przywieźli ze sobą na wakacje *jet-ski*, czyli skuter wodny. Wywalił im się i pędzili, żeby go ratować. Rąbnęli samochodem w drzewo.

Jak się ma dorosłe dzieci, to człowiek stara się odzwyczaić od ciągłego myślenia o nich, narzuca sobie siłą woli dystans, żeby już nie myśleć o tym, że jego dzieciom może się coś stać. Ale kiedy się ma małe dzieci, ten instynkt jest bardzo silny…

Edward ma dwoje dzieci, syn ma osiem lat, córka dwanaście. Ja rozumiem uczucia kogoś, kto myśli o tym, że mogło by się jemu coś takiego przytrafić.

Przypomniała mi się ta kaczka szalejąca z rozpaczy…

30 grudnia

Pojechaliśmy do Adelajdy na ostatnie spotkanie z K. Podróż zajęła nam dwie i pół godziny, a to dlatego, że czekaliśmy na przeprawę promem chyba z półtorej godziny. To są warunki niezwykłe, świąteczne, ale tak już będzie przez całe wakacje. Kolejka olbrzymia, z prawej strony podjeżdżają samochody stałych mieszkańców wyspy, z przepustką. Reszta czeka. Wyspiarze jednak nie chcą wcale budowy mostu. Wcale nie pragną, żeby każdy mógł się łatwo dostać na Wyspę. (Od tego czasu dużo się zmieniło: most jednak zbudowano).

Z państwem K. pożegnaliśmy się w drzwiach, na stojąco. Oddałam im życzliwie pożyczoną nam kilka dni wcześniej mapę. Na wzmiankę o tym, że mieszkamy na Hindmarsh Island, zapanowało milczenie. Wymowne, z uniesieniem brwi do góry. Nie wiedziałam, o co chodzi, aż spotkałam się z ludźmi, którzy na tej Hindmarsh Island wprowadzają swoje porządki i wtedy dopiero zrozumiałam, jak głęboki jest konflikt między „nowymi" a „starymi" Polonusami w Adelaide.

Przyszedł Sylwester. Atmosfera jest nieco nerwowa, bo zaledwie przedwczoraj dowiedzieliśmy się o śmierci tego chłopaka. Bardzo wielu jego kolegów miało być na tym sylwestrze na Wyspie. Cała ta rodzina była bardzo związana z Mazowszem. Ojciec prowadził tu często dyskoteki. Ostatnio organizował w ośrodku Andrzejki. Oczywiście w obliczu tragedii wszyscy ci ludzie i ich znajomi odwołali swój przyjazd. Niemniej zjechało na Wyspę około 80 osób, nie licząc dzieci. Bal musi się odbyć. Muzyka będzie dyskotekowa. Wystąpi też Mietek Kosmalski, miejscowy muzyk i poeta śpiewający ballady, podobno bardzo dobry.

1 stycznia 1999

Początek nowego roku obchodzono hucznie, bo puszczano na polanie fajerwerki. Cierpła mi skóra na myśl, co będzie, jak się ten suchy las zapali, ale się nie zapalił.

Potem były tańce, ale nastrój był nieco przygaszony. Tadeuszowi zrobiło się przykro i nawet się zmobilizował i zatańczył ze mną ze dwa razy. Poznaliśmy kilkoro miłych ludzi, między innymi Krysię i Andrzeja, parę działaczy, która zorganizowała całą tę sylwestrową zabawę. Dobrze po północy rozmowy Polaków pod sosnami na Hindmarsh Island były bardzo szczere i osobiste. I daleko sięgające w historię. Andrzej zwierzał się Tadkowi, że za działalność w NSZ-cie i AK jego rodzice dostali długoletnie wyroki. Pamięta, miał już wtedy kilkanaście lat, jak przyjechała do nich stara kobieta i powiedziała: „Jestem twoją matką”. Usłyszeliśmy też całą historię bitew o przetrwanie i nadanie nowego, prawdziwie harcerskiego charakteru (o przywrócenie charakteru – twierdzą R.) tej placówce, którą oni nazywają „stanicą na wyspie”. Bardzo mi to przypomina walkę, którą my, tak zwana nowa Polonia, przegraliśmy w Perth.

Tutejszym się jednak coś udało zdziałać. Ale wtedy zaczęli walkę między sobą. Krysia i Andrzej opowiadali mi, jak to odebrali władzę na Polu pani B., która trzęsła tutaj wszystkim. To też pani z nowej Polonii, miała koło siebie grono 30 ludzi. Oni tu mają 16 takich działaczy, ale z towarzystwa B. przeszła do nich prawie połowa ludzi. Byli zadowoleni, bo część z tych ludzi, którzy byli na zabawie i zostali długo po sylwestrze i bawili się świetnie, to właśnie była „opozycja”.

Hindmarsh Island

Niestety, dla nas ten rok zaczął się bardzo niedobrze: chorobą Tadeusza. Właśnie leży i poci się po tych Panadolach, które mu dałam. Na Wyspie nie ma lekarza. Chociaż… Ma tu swoją farmę strusi lekarz Polak, przyjmuje dzisiaj gości. Byliśmy u niego w noworoczny wieczór, powiedział: „Ja już jestem po kilku kielichach, nie palę się, żeby jechać do chorego, bo nawet nie mam tu swego sprzętu – ja tu nie praktykuję!” I poradził nam, żeby jechać do szpitala, jeśli to jakieś zapalenie żył, bo na to wygląda.

Jutro więc będzie trzeba jechać znów do Adelaidy, zrobić badania

w szpitalu, odwiedzić pilnie jakiegoś lekarza.

Na razie Tadzio ma gorączkę. Leży mokry. Jak przeżyjemy noc, nie wiem. Dzisiaj nie chciał nigdzie jechać, uparł się: on w Nowy Rok nie będzie chorował, to byłaby zła wróżba na cały rok! Co taki upór może zmienić?

5 stycznia

Następnego dnia, w sobotę, Tadzio czuł się pozornie lepiej, ale zgodnie z zapowiedzią dał się zawieźć do lekarza. I tak, Tadzio spędził dwie następne noce w szpitalu. A ja nocowałam na zewnątrz, w samochodzie. Pierwszą noc będę pamiętać do końca życia, bo o północy wylądował ze straszliwym hukiem helikopter, siadając prawie na dachu mojego kampera!

Mając samotną niedzielę do dyspozycji poszłam do ogrodu botanicznego. Ogromnie mi się podobał, było w nim cieniście i swojsko. Nad strumieniem posadzono tam nawet mały lasek brzozowy: trzynaście brzózek, mniejszych i większych, różnych gatunków. Można się położyć pod tymi brzozami na wilgotnej, miękkiej trawie i człowiek czuje się szczęśliwy. Potem odwiedziłam poznanego na zabawie sylwestrowej Krzysztofa W., który z kolei posłał mnie do pana Dudzińskiego, bardzo miłego 80-latka, u którego siedziałam, rozmawiając, do północy. Drugą więc noc spędziłam na *driveway'u* pana Dudzińskiego, parkując

obok starego radiowego wozu transmisyjnego, w którym mój gościnny gospodarz od lat montuje swoje programy radiowe dla polskiego radia w Adelaide.

W poniedziałek znowu był straszliwy upał, gdy jechaliśmy z powrotem na Wyspę. Dzisiaj zaś, jak Tadeusz mówi, Pan Bóg gładzi tę ziemię uspokajająco, bo spuścił na nas kilka kropelek deszczu. Jest pochmurno, grają cykady, jest dosyć przyjemnie bez słońca.

Hindmarsh Island

Dwa dni później

A potem rozpadało się, gdy już byliśmy gotowi wyjeżdżać. Było sennie, Tadek kurował swoją nogę, a nasi przyjaciele znowu mieli mokry namiot i nie mogli się złożyć. Wszyscy pili więc piwo, które z jakichś zapasów klubowych wyciągał Edek.

Ostatni dzień spędziliśmy w odwiedzinach u Doroty i Mietka. Mietek to właśnie ten poeta, który w sylwestra śpiewał swoje nieco smutne ballady w przerwie między tańcami na Mazowszu. Jak przyjechaliśmy, Dorota była w pracy, zaś „mały" Wojtek, nastolatek, tłukł sznycle cielęce klęcząc na betonowej podłodze. (Betonowej, bo tata zamiast desek na podłogę kupił właśnie Rolanda!) Bardzo rzeczowo i solidnie się do tego zabrał, wyglądało to tak, jakby każdym uderzeniem tłuczka wbijał w beton gwoździe. Niemniej, po dwóch godzinach te sznycle zostały podane na stół, razem z pieczonymi kurczakami i jeszcze innymi smakowitościami. Piliśmy do tego czerwone wino, a gospodarz, mimo że miał solidnie w czubie, śpiewał dla nas swoje utwory, z trudem przypominając sobie słowa. Nagrałam to…

Jego piosenki są smutne, pełne tęsknoty, proste i – przede wszystkim – szczere, może nie gorsze niż Jacka Kaczmarskiego, może bardziej serdeczne. Mniej wymyślne, kulturalne, intelektualne. Wybaczyłam mu, że cały czas się czepiał mojej pięknej polskiej wymowy i podkreślał, że się nie mówi „przyszedłem" tylko „przyszłem" itp. Ma kompleks, czy co?

A potem jeszcze raz wróciliśmy na Wyspę, gdzie już w ogóle nie ma wody. Korzenie drzew zadusiły rurę plastykową, którą się ciągnie wodę z rzeki do kuchni i łazienek. Żeby skorzystać z toalety i wykąpać się trzeba było zejść do domku nad rzeką. Myśmy na szczęście mieli rozłożony pełny obóz, z łazienką i toaletą, toteż nie musieliśmy biegać, ale czas już było wyjeżdżać. Siedzieliśmy na Wyspie 17 dni, dłużej niż gdziekolwiek indziej podczas całej naszej podróży dookoła Australii. Siedzieliśmy, bo było nam swojsko i po polsku. I warto będzie to Boże Narodzenie pamiętać.

Fragment z zapisu podróży kamperwanem dookoła Australii.

Zaczarowane Święta

Świątecznie udekorowany kominek ze zdjęciami rodzinnymi w naszym domu w Austin w Teksasie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Dla mojego Taty, największego naszego Przyjaciela, bez którego żadne Święta nie będą już takie same.

Każdy z nas nosi w sobie taką Wigilię, o której nie zapomni do końca życia. Każdy z nas pamięta zapach choinki, aromat zupy grzybowej, wyjątkowy smak karpia, te cudowne kolędy, które

zawsze wzruszają, kolory bombek, lampek, skrzypiący śnieg pod nogami, ośnieżone dachy domów za oknem, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, emocje prezentów, a przede wszystkim miłość najbliższych, którą sobie w tym dniu wyjątkowo uświadamiamy. Ten magiczny wieczór nadaje sens wszystkiemu co robimy, wszystko od niego jakby zaczyna się od nowa. Warto poświęcić czas i pracę, aby każda Wigilia była wyjątkowa, obojętnie pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy, bo Święta Bożego Narodzenia to jeden z najpiękniejszych okresów w roku. Tradycje świąteczne wyniesione z domu rodzinnego są wspominane przecież przez całe życie.

Gdy mieszkałam w Polsce, nigdy nie pomyślałam, że mogłabym kiedykolwiek zasiąść za stołem wigilijnym bez rodziców, brata, babuni i wszystkich najbliższych. Gwiazdki, które pamiętam z domu, były najpiękniejszymi dniami w roku. Niepowtarzalna atmosfera niesamowitości i miłości, którą sobie w tym dniu zawsze uświadamiałam, była czymś wyjątkowym. Przy skromnym życiu w Polsce, w małym mieszkaniu w blokach, nawet prezenty miały inny wymiar. Zawsze przy choince usadzałam moje lalki – Gabrysię i Klaudynkę, które też dostawały swoje paczuszki – najczęściej ubranka, pracowicie szyte przez mamę w nocy, żebym nie zauważyła. Dostawały pelerynki pikowane, szyte z folii i flanelki, kapelusze z rafii robione na szydełku, szaliki i bereciki z pomponem, kolorowe robione na drutach, czy haftowane maleńkie kapciuszki. Ile to było radości. I gdzie tym ubrankom

dla lalek, jak z żurnala, do współczesnych strojów cukierkowej lalki Barbie.

Moje lalki miały swoje mieszkanie, przerobione ze starej szafki. Tata – inżynier elektryk, doprowadził elektryczność i miałam tam prawdziwe, działające miniaturowe lampy z kolorowymi abażurami, szytymi przez mamę. Mama uszyła także firanki i wyhaftowała dywan i wyrzeźbiła figurkę na ścianę. Były też miniaturowe mebelki, prawdziwa kanapa na zawiasach, stół i krzesła, robione po wojnie dla mojej mamy na gwiazdkę, przez jej ciotecznego brata. Śliczne. Gdy zbliżały się Święta, i ja ulegałam atmosferze przygotowań, pastowałam pracowicie podłogę w moim domku dla lalek, trzepałam dywan, piekłam z mamą malusieńkie ciasta. Ile było w tym uroku. Ile rodzice poświęcali czasu, żeby nasze święta były bajkowe i niepowtarzalne, mimo, że półki świeciły pustkami i pieniędzy było mało. I za nic bym ich nie zamieniła, na te bogate, przeładowane słodyczą, ozdobami, wielkimi kokardami, ale… pustymi w środku.

Na Mikołajki – 6 grudnia, pisaliśmy z bratem listy, które wkładaliśmy w buty. Mama przetrzymuje je do dziś na pamiątkę. Mój brat zawsze wyliczał masę różnych zabawek, a na wszelki wypadek, gdyby o czymś zapomniał; dopisywał – *i jeszcze co sam sobie życzysz, Kochany Mikołaju*. Ja pisałam zawsze długi wstęp – *Kochany Mikołaju, wiem, że masz dużo dzieci i że możesz wszystkim nie zdążyć dać prezentów, więc ja mogę zrezygnować.*

No, ewentualnie, jeśli o czymś marzę, to o czymś małym, np, o wierszach Jesienina. Mama się potem śmiała, że więcej kłopotu miała, żeby znaleźć te wiersze, niż ze wszystkimi „zamówieniami” mojego brata.

Martwiliśmy się z bratem, że jak nie będzie śniegu, to Mikołaj do nas nie przyjedzie, bo sanie do nas nie dojadą. Tata nas wtedy pocieszał, że jak nie będzie śniegu Mikołaj – przyleci helikopterem, że idzie z postępem i jest nowoczesny. Gdy wyszła już pierwsza gwiazdka na niebie, skupieni czekaliśmy z bratem w pokoju na jakąś oznakę Mikołaja, zawsze się spieszył, nie mogliśmy go zobaczyć, lądował na balkonie – słyszeliśmy warkot, przyklejeni do dziurki od klucza, potem głos, szum, trzask… a potem rozlegał się dźwięk kolędy – „Bóg się rodzi”. To był znak, że możemy wyjść z pokoju, zobaczyć zawsze najpiękniejszą choinkę na świecie i zasiąść do kolacji.

Prezenty były dla nas ważne, ale nie najważniejsze. Ja zawsze chciałam posiedzieć jak najdłużej przy stole, tak było dobrze i wzniośle. Ale prezenty były często też zaskakujące. Nie wiem, jak to rodzice robili, że w małym, dwupokojowym mieszkaniu w blokach dostawaliśmy takie prezenty – niespodzianki, jak np. mój brat – rower kolarski, a ja pianino. Bardzo marzyłam, żeby grać na pianinie. Zaczęłam uczyć się gry późno, bo w 7 klasie szkoły podstawowej. Ponieważ nie miałam pianina, żeby ćwiczyć w domu, wstawałam o 5-6 rano i szłam ćwiczyć do szkoły. Nikt

mnie w domu nie musiał budzić, sama cichutko się ubierałam, a woźne mnie wpuszczały. Jaka więc była moja radość, gdy dostałam pod choinkę starodawne pianino, takie o jakim marzyłam, XIX wiecznego Petroffa z lichtarzami, zapakowane i z wielką kokardą. Nie mogłam uwierzyć i oderwać się od klawiszy. A jak było ukryte w tym dwupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze w blokach, tego nie wiem do tej pory.

Później, gdy przeprowadziliśmy się z rodzicami do segmentu z ogródkiem, ubierało się choinki też przed domem, a spacery po osiedlu, ze skrzypiącym śniegiem, stały się dodatkowym malowniczym obrazkiem. Pamiętam taką Wigilię, gdy już nie mieszkałam z rodzicami. Współpracowałam wówczas z łódzką telewizją i na początku grudnia brałam udział w programie, który miał być emitowany w samą Wigilię. Przy pięknie udekorowanym stole wigilijnym zasiadły osoby ze świata kultury, aby porozmawiać o książkach pod choinkę. Ja mówiłam o zbiorze baśni pt. „Diamentowe Góry”, które moja mama dostała pod choinkę podczas wojny. Moja mama urodziła się w samą wojnę, a te baśnie były jej jedynym promykiem w dzieciństwie, gdy wiele czasu spędzała w piwnicy, podczas nalotów. Potem ja te baśnie dostałam od mamy. Gdy przyszła Wigilia, jakie ja i mój brat, który mi pomagał, robiliśmy zabiegi, żeby o godzinie emisji włączyć telewizor. Ile było zdziwienia, że chcemy oglądać telewizję, zamiast skupić się na kolacji. Ale potem… nie zapomnę łez wzruszenia mojej mamy, gdy zobaczyła, jak z ekranu mówię

do niej i o niej.

Pierwszy raz Święta bez rodziców obchodziłam, gdy byłam w 1998 roku w Kalifornii. Nie były to święta typowe, bo przy choince w gaju pomarańczowym i przy śpiewie kolibrów. Przy stole zasiadły sławne osoby, znane telewizyjne twarze, a ja dostałam w prezencie futro z norek, z wyhaftowanym moim imieniem i nazwiskiem. Tylko, że ja wolałabym nic nie dostać i być z rodziną, w puszystym, śnieżnym bajkowym wigilijnym świecie, wypełnionym miłością i domową atmosferą.

Gdy przyjechałam do Kanady za wszelką cenę nie chciałam się poddać wszechobecnej komercji i obowiązkowi dawania prezentów – dużo i drogich. Prezent jest wyrazem naszych uczuć, dajemy bliskim to, o czym oni marzą, spełniamy ich marzenia, nawet jeśli to nas kosztuje dużo wysiłku. Święta z moim mężem Jackiem, choć daleko od Polski, w zupełnie innym otoczeniu, są dalej najpiękniejszymi dniami w roku, wypełnionymi emocjami, zapachem zupy grzybowej, choinki i różnych pyszności. Pamiętam, kiedyś robiłam zakupy w polskim sklepie na Roncesvalles, potem stanęłam na przystanku. Podeszła do mnie pani, która też robiła zakupy. Ja obładowana siatkami, pani z jedną torebką. – *A bo tutejsze święta, to nie święta, to nie to, co u rodziców w Krakowie, tam to była atmosfera, a tu co, sami z mężem i dzieckiem jesteśmy, to się nie opłaca wyprawiać żadnych świąt.* Uderzyło mnie to bardzo. Z mężem i dzieckiem,

to znaczy z rodziną. I się nie opłaca?

W naszym domu koło Nowego Jorku, gdzie zamieszkaliśmy po wyprowadzce z Toronto, już tydzień przed Świętami czuć było podniosłą atmosferę. Upieczone staropolskie ciasteczka migdałowe i rumowo czekoladowe, rogaliczki drożdżowe według przepisu Heleny Modrzejewskiej, z nadzieniem różanym, kulebiak staropolski, drożdżowy z kapustą i grzybami, klops nadziewany prawdziwkami z sosem grzybowym, pstrąg na niebiesko, karp w szarym sosie… i inne pyszności.

Choinkę ubieramy zawsze w Wigilię, bo wtedy niepowtarzalnie pachnie i miesza się z zapachem zupy grzybowej, jedynej w swoim rodzaju. Zapalamy w kominku, włączymy kolędy. Są też prezenty – niespodzianki. Kiedyś znalazłam na Internecie przedwojenną etykietę na miód pitny z napisem „Brawinus. Miodosytnia i rozlewnia win”. Etykietę wydrukowałam i oprawiłam. Firma Brawinus należała do dziadka Jacka, który utonął w rzece na początku wojny, gdy rzucił się by uratować dziecko, jak się później okazało, dziecko ss-mana. Jacek nie miał po nim żadnych pamiątek.

Innym razem przed Wigilią dostaliśmy prezentowe SOS z Polski. Synek mojego brata miał dostać od moich rodziców na gwiazdkę naturalnej wielkości tygrysa. Tata wymyślił, że gdy będzie tę wielką pakę odpakowywał, gdzieś zza choinki, ma się pojawić ryk

tygrysa. No i przy śniadaniu szukaliśmy zamówionego „ryku tygrysa”. Znaleźliśmy i przesłaliśmy w postaci mp3. Dobrze, że jest Internet, skype, kamery, bo stały kontakt jest możliwy.

W 2013 roku przeprowadziliśmy się do Teksasu. Mimo ciepłego klimatu, który nie sprzyja nastrojowi Bożego Narodzenia, mamy w domu tę samą atmosferę przy kolorowej choince i iskrzącym kominku, królują te same polskie zapachy lasów, pól i łąk. Mamy przyjaciół, którzy doceniają świąteczne potrawy podane na porcelanie *Modjeska* sprzed ponad stu lat. Byłam wzruszona, jak zobaczyłam, że zapach kaczki z jabłkami i smak świątecznego ciasta z makiem, wywołał w ich oczach łzy. Wspomnienia polskich Świąt w rodzinnym domu sprzed wielu lat, gdy się mieszka bardzo długo na emigracji, są bezcenne.

Dwa lata temu na Święta byłam w Polsce. Opiekowałam się chorym tatą. Czuliśmy, że może przyjść najgorsze, ale nikt z nas nie chciał się do tego przyznać. Szykowaliśmy z tatą Święta, jakby nic się nie miało zdarzyć. Kupiliśmy najpiękniejszą choinkę, jaka kiedykolwiek była w domu. Ubrana starymi bombkami, lśniła, mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, pachniała i wyglądała czarodziejsko. Koty najpierw z uwagą się przyglądały, a potem próbowały zaprosić choinkę do zabawy, łapały ją za dolne gałązki i trącały nosami bombki.

Pojechaliśmy też po karpie na prywatną farmę. Zgodnie z

tradycją rodzinną, kupowany jest zawsze jeden karp więcej. Wypuszczanie karpia na wolność do jeziora to cały rytuał, który jest co roku skrupulatnie powtarzany.

W tym roku znów jestem w Polsce. Tuż przed Wigilią moja mama ma operację. Nie wiem, jak się będzie czuła, możliwe, że Święta spędzę z nią w szpitalu. Jacek będzie u przyjaciół w Teksasie, z prezentami i życzeniami ode mnie wysłanymi w paczce. No cóż, takie Święta też bywają. Jednak zawsze trzeba pamiętać, że Święta, to barometr bliskości i uczuć. Jak jest dobrze w domu na co dzień, to i Święta, nawet, gdy ma się trudny czas, gdy jest się daleko od siebie, też mogą być zaczarowane.

Wesołych Świąt !!!

Zaczarowane Święta w naszym domu w Teksasie, fot. Jacek Gwizdka..

Choinka w Zimowym Ogrodzie

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi

niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (…) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połągi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość

osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki.

Kretynga, po lewej stronie pałacu Ogród Zimowy, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyngą a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki

miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina

Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął tworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-to letnia Fraulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko". Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem , a panna Retty z braku głosu *„ślicznie gwizdała"*. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii Zimowego Ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwactwa. (…)

Kretynga według Napoleona Ordy.

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz byl wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci,

nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem,

włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek *„niech cię kaczki podepczą”* czy *„na pochyłe drzewo kozy skaczą”*. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, *„a po co to wszystko”, „nic z tego dobrego nie wyniknie”, ”a po co pani hrabina tego tyle kupuje”, „po co tyle pieniędzy wydawać” itd.* W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (…)

Kretynga według Napoleona Ordy.

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołędziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Połągowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne *„l'argent de garde"*. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nie umiał sobie z tym poradzić. (…) Najstarszy Oleś wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego

zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Tyszkiewiczowie, portret rodzinny wiszący w pałacu w Kretyndze, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia

i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję” od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zaspał, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej

kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że książę pan jedzie. Po czym wysiadał książę Michał, mały, czarny, z długim, podkręconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem.Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu

Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora. W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy,

gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek.. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą. (…)

Na Żmudzi życie toczyło się więc ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów i dziećmi przenieśli się z Landwarowa do Kretyngi po Powstaniu Styczniowym.